GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 MARCA 1933
NR. 6 ROK III

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 6
1933 R.
15 — III

ZDARZENIA i POGLĄDY

KRYZYS DOLARA...

Kryzys bankowy w Stanach Zjednoczonych, który doprowadził do zachwiania się kursu dolara stanowił jakby potężną „dekorację", stworzoną przez samo życie dla ceremonji przejęcia władzy prezydenckiej przez prez. Roosevelta. Jeśli można się już dziś orjentować co do przyszłej linji polityki gospodarczej nowego prezydenta podług dotychczasowych jego enuncjacji, to należy przypuszczać, że zmiana, która się dokonała w Białym Domu, jest nietylko zmianą osób, lecz przedewszystkiem — zmianą systemu.

Jest to niezwykle ważna okoliczność, zwłaszcza w obliczu ostatnich wypadków. Krach bankowy amerykański nie jest to jakieś zdarzenie, powstałe z przypadku, czy zbiegu przypadków, których skutkiem był taki czy odmienny nastrój mas. Krach ten stanowi ostatnie ogniwo w łańcuchu faktów powiązanych w pewną konsekwentną całość, a wynikających z t. zw. polityki rekonstrukcyjnej prowadzonej przez prez. Hoovera. Nie można naturalnie całkowitą odpowiedzialność za bieg ostatnich wypadków zwalać na nieszczęśliwe posunięcia polityki prez. Hoovera. Lecz należy w każdym razie główną część odpowiedzialności złożyć na karb tych posunięć. Wysuwanie jako argumentu, tłumaczącego krach bankowy amerykański, czynnika strukturalnego (wadliwy ustrój bankowości) nie jest pozbawione słuszności, lecz właśnie całe ryzyko akcji rekonstrukcyjnej prez. Hoovera polegało na rozprowadzeniu wielkiej ilości kredytów — bez uprzedniego przeprowadzenia procesów sanacyjnych tak w bankowości, jak i w całym szeregu innych dziedzin życia gospodarczego w Stanach Zjednoczonych*).

Zasadniczą tendencją programu prez. Roosevelta, wydaje się być właśnie dążenie do oczyszczenia życia gospodarczego Stanów z przerostów, których istnieniu sprzyjała polityka jego poprzednika. Jest to tendencja równie słuszna, jak — trudna do przeprowadzenia. Przy realizacji tej polityki nowy prezydent będzie miał przeciwko sobie kolejno wszystkie warstwy społeczeństwa. Wprawdzie przyznane mu przez Kongres szerokie pełnomocnictwa uwalniają go w pewnej mierze od nacisku układu sił wewnętrzno - politycznych, lecz nie uwalniają go od tego nacisku na tyle, by mógł wypełnić swój program bez żadnych odstępstw i załamań. Już w pierwszych zarządzeniach prez. Roosevelta widzimy dążność do kompromisu, podyktowanego zresztą przez sam bieg wypadków, uniemożliwiających już dzisiaj bez większych wstrząsów radykalną likwidację systemu „dopomagania konjunkturze". Przewidywania co do dalszej polityki prez. Roosevelta muszą się opierać w głównej mierze o ocenę, w jakim stopniu polityka będzie iść po linji wytyczonej przez program, a w jakiej mierze będzie rezultatem kompromisu z wyborcami.

Z dotychczasowych oświadczeń nowego rządu wynika, iż za żadną cenę nie ma on zamiaru odstępować od parytetu dolara. Wydaje się, że z chwilą gdy minie pierwszy nastrój paniczny, dolarowi bezpośrednio nic zagrażać nie będzie. Najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla dolara—ustawowa gwaran-

---

*) Patrz artykuł „Próba rekonstrukcji pomyślnej konjunktury" w Nr. 16 — 18 „Gosp. Nar." z dn. 15.9.1932 r.

cja wkładów bankowych, zostało zdaje się ominięte. O ile można się zorjentować z tonu zarządzeń prez. Roosevelt'a, nie wydaje się również prawdopodobnem, by rząd Stanów wszedł kiedykolwiek na drogę „dzikiej inflacji" np. w celu pokrycia niedoboru budżetowego. Cały szereg zarządzeń dotychczasowych idzie raczej w kierunku jaknajdalej posuniętych oszczędności. Ponieważ Stany Zjednoczone jako kraj wierzycielski nie potrzebują się obawiać spadku kursu dolara na rynkach zagranicznych, gdyż będzie on zawsze dostatecznie poszukiwany dla spłaty zobowiązań, więc od tej strony nie widać przyczyn, któreby mogły doprowadzić do jego dewaluacji. Nie wydaje się również prawdopodobnem, by rząd Stanów przy czynnym bilansie handlowym tego kraju, starał się stworzyć dodatkową premję dla eksportu przez dewaluację. Straty Stanów jako wierzyciela świata byłyby przez to bez porównania dotkliwsze, niż zysk z tego rodzaju premji eksportowej.

Jedynym punktem niejasnym jest sytuacja wewnętrzno-polityczna. Pojawiły się już w prasie obietnice ze strony prez. Roosevelta podjęcia jakichś robót publicznych. Nie jest wiadomem, czy obietnice te są tylko manewrem politycznym, czy też częścią programu, która może doprowadzić do nowych niebezpiecznych komplikacji dla dolara. Komplikacji tem niebezpieczniejszych, iż nie wydaje się prawdopodobnem, by przy obecnej sytuacji na rynku finansowym Stanów, mogła jeszcze istnieć droga inflacji „regulowanej".

Znaczenie kryzysu finansowego, który obecnie przeżywają Stany jest bardzo duże przedewszystkiem w dziedzinie psychologicznej. Stanowi on urzeczywistnienie poglądu, iż nie może istnieć kraj, któryby mógł przez dłuższy okres czasu zachowywać swoją „prosperity" przez zarządzenia, oddzielające go chińskim murem od biedy innych krajów. Być może, że ten efekt psychologiczny podziała na zmianę kursu polityki gospodarczej w Stanach, na który weszły przeszło dwadzieścia lat temu przez ograniczenia imigracyjne, i który stosowały konsekwentnie przez cały okres powojenny, roszerzając go na inne dziedziny życia gospodarczego. Supozycja ta jednak należy do rzędu bardzo optymistycznych.

BOHDAN WALEŃSKI

P. Z. P. Z. CZY ZASTAW REJESTROWY

Kryzys zbożowy ma obecnie więcej cech strukturalnych, niż przed kilku laty. Stosownie do tego forma interwencji Państwa, w kierunku przyjścia z pomocą rolnictwu, winna być obliczona na dłuższy okres czasu trwania kryzysu.

Zagadnienia związane z polityką zbożową wyglądają dzisiaj, w piątym roku kryzysu rolniczego inaczej, niż wyglądały na jego początku, a nawet jeszcze rok temu.

W przeciągu tych pięciu lat struktura międzynarodowa rolnictwa uległa potężnym przekształceniom. Rolnictwo całego świata przeżywa obecnie fazę pewnego rodzaju „stabilizacji" kryzysu zbożowego. Coraz silniej zaznacza się oddziaływanie polityki popierania krajowego rolnictwa i dążenia do samowystarczalności zbożowej w krajach, które dotychczas importowały zboże. W obecnej chwili nawet znaczne redukcje obszaru zasiewów krajów eksportujących nie są w stanie zrównoważyć zwiększenia produkcji w krajach importujących. W rezultacie na międzynarodowych rynkach zbożowych wytworzyła się sytuacja, o której słusznie pisze w jednym z numerów „Rolnictwa" p. Fr. Baade, że „w ciągu jeszcze długiego okresu czasu nie będzie gorszego interesu od eksportu zboża".

W tych warunkach jasną się staje potrzeba pomocy państwa na rzecz produkcji zbożowej, w szczególności w kraju o tak dużym odsetku ludności rolniczej jak Polska.

W polskiej polityce zbożowej spotykamy dwa typy interwencji. Jeden z nich możnaby określić mianem „interwencji pośredniej", drugi „bezpośredniej".

Wszystkie prawie posunięcia Państwa w zakresie polityki zbożowej dadzą się zakwalifikować jako „ingerencja pośrednia". Tak bowiem cła przywozowe na zboża, czy zwroty ceł (premje) przy wywozie zbóż, jak kredyty zastawowe i zaliczkowe, jak wreszcie specjalne taryfy kolejowe na przewóz zbóż, stanowią jedynie pewne normy, których wyzyskanie przy kształtowaniu się rzeczywistości gospodarczej, zależy całkowicie od prywatnych jednostek gospodarujących. Normy tu zostały stworzone z wyraźnym celem przeprowadzeniu korektury dochodu społecznego na rzecz rolnictwa szczególnie silnie dotkniętego przez kryzys gospodarczy. Jest jednak już rzeczą poszczególnych rolników, w jakiej mierze korzystać będą z zastawu zbożowego, czy tanich przewozów kolejowych dla zbóż. Rola Państwa ogranicza się tu do stworzenia *norm*. Państwo natomiast nie wpływa bezpośrednio na bieg życia gospodarczego, układającego się w ramach tych norm.

Jedyny wyjątek jaknajbardziej bezpośredniego interwencjonizmu Państwa w zakresie polityki zbo-

żowej stanowią P. Z. P. Z. Państwo występuje tu w roli kontrahenta narówni z przedsiębiorcami prywatnymi. Przez P. Z. P. Z. Państwo już nie *normuje*, lecz bezpośrednio *formuje* sytuację na rynku zbożowym. Przytem P. Z. P. Z. nie koniecznie muszą stanowić przedsiębiorstwo, którego zadaniem jest utrzymywanie cen zbóż na pewnym poziomie, wyższym od poziomu cen światowych, czy wogóle akcja w kierunku zwyżki cen. Jest zupełnie możliwe do pomyślenia, że przy cenach zbóż na rynku krajowym, które zdaniem kierowników polityki zbożowej, będą zbyt wysokie, P. Z. P. Z. mogą, nie zmieniając nic w zakresie swej organizacji, prowadzić akcję interwencyjną w kierunku zniżki cen.

Istnienie w ustroju gospodarczym kapitalistycznym, do którego należy Polska, przedsiębiorstwa państwowego, konkurującego z przedsiębiorstwami prywatnemi, wymaga jakichś specjalnych motywów. Motywem tym, przemawiającym za powoływaniem P. Z. P. Z., była z jednej strony waga handlu zbożowego tak dla rolnictwa jak i aprowizacji kraju, z drugiej strony — słabość naszego handlu zbożowego. P. Z. P. Z. miały się stać instytucją, której zadaniem było uporządkowanie rynku zbożowego w Polsce. Pozatem, w miarę wzmagania się kryzysu rolnego, wywołanego między innemi katastrofalnym spadkiem cen zbóż, zadaniem P. Z. P. Z. stała się interwencja w kierunku podwyższenia cen zbóż.

Na czem musi polegać uporządkowanie rynku zbożowego w Polsce? Największą bolączką tego rynku są niewątpliwie znaczne wahania cen. Przytem nie chodzi tu o wahania cen, wywołane działaniem spekulacji na giełdach zbożowych. Spekulacja ta w Polsce odgrywa minimalną rolę, przedewszystkiem ze względu na brak kapitałów, któreby mogły być w niej zaangażowane, a następnie ze względu na małe znaczenie giełd w ogólnym obrocie zbóż i na brak nowoczesnych form handlu. Wahania cen zbóż w Polsce są to przedewszystkiem *wahania sezonowe*. Polska jest niewątpliwie jednym z krajów o największej rozpiętości wahań sezonowych cen zbóż na świecie. Czynników się na to składa wiele.

Omówienie ich wymagałoby specjalnego artykułu. Najważniejszym bodaj jest chroniczny brak kapitału obrotowego, który odczuwa większość warsztatów rolnych. Brak ten zmusza rolników do koncentracji podaży zboża w okresie miesięcy pożniwnych.

Czy P. Z. P. Z. mogą wpłynać na zmniejszenie się rozpiętości wahań sezonowych, lub czy wogóle mogą oddziaływać w kierunku stabilizacji cen zboża? Porównanie danych, dotyczących cen w latach 1926/27 i 1927/28, gdy była prowadzona t. zw. „prokonsumencka" interwencja przez kierownictwo ówczesnej „Rezerwy Zbożowej" z latami 1930/31 i 1931/32, daje nam pod tym względem dużo ciekawego materjału [1]). W roku gospodarczym 1926/27 rozpiętość pomiędzy najwyższą a najniższą ceną tygodniową żyta na giełdzie poznańskiej wynosiła 64,75% ceny średniej [2]) (najwyższa cena stanowiła 128,19% ceny średniej, najniższa — 63,44% tejże). Ta sama rozpiętość cen w roku 1927/28 wynosiła 45,45% ceny średniej (najwyższa cena 131,03%, najniższa — 86,58% ceny średniej). Analogiczne dane dla lat 1930/31 i 1931/32 przedstawiają rozpiętość — dla pierwszego z tych lat 60,09%, dla drugiego — 45,06%, (ceny najwyższe — 139,08% i 117,95 proc. cen średnich, ceny najniższe 78,99% i 72,89% cen średnich). W rezultacie w dwóch latach, w których zadaniem interwencji zbożowej było ustabilizowanie cen zboża na pewnym niższym poziomie, gdy importowano zboże na przednówku, *by obniżyć ceny*, rozpiętość pomiędzy najwyższą, a najniższą ceną danego roku była jednakowa niemal co i w latach 1930/31 i 1931/32, gdy zadaniem P. Z. P. Z. według wiele razy przez prasę powtarzanych enuncjacyj, było oderwanie się od cen światowych *w kierunku zwyżki cen*. W każdym z tych czterech lat następowało w okresie zimowym oderwanie się cen zboża na rynku polskim (jako na rynku o niewielkich nadwyżkach eksportowych jedynie na jesieni) od cen światowych i wszelkie działanie w celu „dopomożenia" temu procesowi oderwania się (akcja P. Z. P. Z.) czy „przeszkodzenia" mu (akcja Rezerwy Zbożowej) dała znikome rezultaty. Przy dokładniejszej analizie krzywych, ilustrujących ceny zbóż w tych latach, jasno wychodzi na jaw cała nikłość efektu, tych akcyj. Stan ten jest zupełnie łatwy do wytłumaczenia. W okresie dużej podaży na jesieni i w miesiącach zimowych, środki P. Z. P. Z. nie wystarczają na opanowanie sytuacji. Ceny zbóż kształtują się zwykle na parytecie eksportowym. Na wiosnę, po wyeksportowaniu nadwyżek (do czego dopomagają premje), ceny zbóż odrywają się od parytetu eksportowego i mają tendencję zwyżkową, nie osiągając zwykle ceny importowej, gdyż jesteśmy zwykle na granicy samowystarczalności. Jest to mechanizm dość prosty, w którym na działalność P. Z. P. Z. niema wiele miejsca. Dla zrozumienia, że P. Z. P. Z. nie mogą tu odegrać większej roli, musimy sobie uprzytomnić, że w myśl oświadczeń p. Prezesa Przedpełskiego (na konferencji w Min. Rolnictwa w czerwcu 1932 r.) P. Z. P. Z. zakupują rocznie około 200.000 tonn zboża, podczas gdy zbiory czterech głównych zbóż (w zakresie których istnieją duże możliwości substytucji, i których ceny są wskutek tego ściśle od siebie zależne) wahają się przeciętnie około cyfry 12 milj. tonn, t. j. P. Z. P. Z. swym rocznym obrotem są w stanie objąć *zaledwie około 1½% produkcji zbóż*. Wahania konsumcji zbóż, w zależności od rezultatów zbiorów, przewyższają kilkunastokrotnie ilości zboża zakupywane przez P. Z. P. Z. Każda próba zwiększenia zakupów przez P. Z. P. Z. w okresie, gdy zboże jest w kraju (jesień, zima) pociąga za sobą wielki wzrost podaży, który P. Z. P. Z. nie są już w stanie opanować.

[1]) Lata 1928/29 i 1929/30 stanowią okres przejściowy w kierunku nastawienia polityki zbożowej. Z tego względu nie mogą być brane pod uwagę.

[2]) Cena średnia przeciętna cen tygodniowych całego roku gospodarczego.

Wobec wielkiej elastyczności konsumcji zbóż w Polsce, P. Z. P. Z. nawet w razie znacznego zwiększenia ich środków nie będą w stanie opanować rynku. Wahania konsumcji zbóż w Polsce wynikają przedewszystkiem z niezaspokojonego popytu wsi. Mieliśmy kilkakrotnie dowody, że w latach dużego urodzaju wieś sprzedaje stosunkowo niewiele więcej zboża na rynek, niż w latach średniego urodzaju. Nadwyżki zostają skonsumowane po większej części we własnych gospodarstwach. Mieliśmy jednak zarazem dowody, że wieś nasza potrafi zaciskać pasa (chyba tak jak to potrafi tylko chłop rosyjski), i że w latach nieurodzaju przy stosunkowo wysokich cenach, nacisk na rynek zbożowy ze strony podaży nie jest mniejszy niż w latach urodzaju. Każda więc akcja bezpośredniego podnoszenia cen przez P. Z. P. Z. w okresie, gdy zboże jest jeszcze w rękach producentów, wywołałaby falę podaży, której P. Z. P. Z. nie byłyby w stanie opanować. Podnoszenie zaś cen w okresie wiosennym, gdy zboże jest po większej części w rękach kupców, czy nielicznych większych rolników, nie może być uważane za akcję pomocy rolnictwu. w tym czasie bowiem wielu rolników *kupuje zboże.*

Za niemożnością opanowania przez P. Z. P. Z. sytuacji przemawia jeszcze brak elewatorów, któremi zarządzałyby, czy które stanowiłyby ich własność. P. Z. P. Z. magazynują zboże w 4/5 w młynach, czy elewatorach prywatnych, których rozmiary są stosunkowo nikłe. Przytem wytwarza się sytuacja taka, że właściciel danego młyna czy magazynu nie kupuje już zboża na własny rachunek, tylko przechowuje zboże P. Z. P. Z. W ten sposób P. Z. P. Z. nie występują na rynku jako nowy popyt, zastępują one jedynie popyt reprezentowany dawniej przez dane młyny czy elewatory, gdyż właściciele tychże wolą naogół niewielkie lecz pewne zyski, które mogą mieć, przechowując zboże P. Z. P. Z., niż sami ponosić ryzyko kupna.

Na tem wypychaniu i zastępowaniu handlu zbożowego przez P. Z. P. Z. polega ich szkodliwość dla całości gospodarki narodowej. W obecnym stanie rzeczy P. Z. P. Z. nie są w stanie zastąpić handlu zbożowego. Jeżeli bowiem nawet przyjmiemy, że zaledwie 1/3 część produkcji zboża dostaje się na rynek. to i tak P. Z. P. Z. będą w stanie opanować zaledwie około 5%. tej kwoty. Reszta musi przejść przez handel zbożowy, taki jaki jest, dobry czy zły, silny czy słaby. P. Z. P. Z. przy swej słabości finansowej i technicznej (brak elewatorów) nie są w stanie opanować całego rynku zbożowego. Natomiast powiększają czynnik ryzyka przy wszelkich tranzakcjach. Nigdy niewiadomo bowiem. czy P. Z. P. Z. będą kupować po cenach uzasadnionych sytuacja na rynku, czy też rozpoczynają „interwencję", t. j. zakupy po wyższej cenie z całą świadomością czekającej je straty. Niewiadomo również. kiedy zakupy interwencyjne skończą się i cena wróci do poziomu regulowanego podażą i popytem handlu prywatnego. Niewiadomo wreszcie, kiedy P. Z. P. Z. zaczną likwidować zapasy. oddziaływując w kierunku zniżki cen. Zapasy nagromadzone w rękach P. Z. P. Z. ciążą znacznie więcej na rynku, niżby ciążyły. gdyby znajdowały się w rękach prywatnych kupców. Przy likwidacji bowiem zapasów, znajdujących się w wielu rękach, nacisk na rynek jest bez porównania mniejszy, niż przy likwidacji zapasów, pozostających do dyspozycji instytucji scentralizowanej, nie potrzebującej przytem liczyć się z konsekwencjami złych posunięć. W rezultacie handel prywatny, któremu żadna dobra wróżka nie kompensuje strat, poniesionych przy obrotach i który wskutek tego musi się starać pracować z zyskiem, ma dwie możliwości: albo będzie przy zakupie i przy sprzedaży uwzględniać zwiększone ryzyko t. j. mówiąc innemi słowami, kupować taniej a sprzedawać drożej niż dotychczas (na czem tracą i producenci-rolnicy i konsumenci), albo też wejdzie w porozumienie z P. Z. P. Z. i będzie pracować bez ryzyka, zarabiając jedynie „godziwe" koszty pośrednictwa. W praktyce spotykamy i jedno i drugie. Ponieważ tylko część firm może pracować na rachunek P. Z. P. Z., bo jak już wyżej było wskazane, P. Z. P. Z. mogą objąć jedynie niewielką cząstkę krajowego obrotu zbożem, *więc większość firm radzi sobie w ten sposób, że podraża koszty pośrednictwa,* co odbija się ujemnie w pierwszej linji na samych rolnikach. Jest to zupełnie oczywiste, gdyż instytucja, która stara się kupować na rynku *najdrożej,* nie *najtaniej,* jest z punktu widzenia ekonomicznego anomalją. Zyski, które może ona przez zakupy po wyższej cenie przynieść rolnictwu, są minimalne, w porównaniu ze stratami, które ponosi toż samo rolnictwo naskutek ograniczania popytu ze strony handlu zbożowego. wycofującego się z rynku, gdy pojawia się na nim „konkurencja", nie opierająca się na żadnej kalkulacji i której działanie ufundowane jest na zasadzie. że im więcej straci, tem większy będzie pożytek dla rolników. ba! tem większa korzyść dla całej gospodarki narodowej.

Czy rolnicy wiele z tego zarobią, co P. Z. P. Z. stracą, jest mocno wątpliwe. P. Z. P. Z. w stosunkowo minimalnym stopniu kupują zboże bezpośrednio u producentów. Następnie kupują je w znacznej większości w Wielkopolsce, a więc w dzielnicy kraju. posiadającej najlepiej zorganizowany handel zbożem, najlepsze elewatory, najniższą marżę zysku przy wszelkiego rodzaju pośrednictwie. wreszcie najlepsze możliwości komunikacyjne. Czy rzeczywiście można przypuszczać, że przedsiębiorstwo państwowe, które się tam usadowiło, przy silnym handlu miejscowym, przedsiębiorstwo nie posiadające własnych magazynów, a skazane na wydzierżawianie sobie magazynów u swych konkurentów, będzie w stanie taniej pracować od firm posiadających ustaloną rutynę kupiecką? Odpowiedzieć na to, nie mając dostatecznego materjału ankietowego, nie można. Przypuszczam jednak, że wszyscy, którzy znają praktykę handlu „organizowanego" nietylko u nas, lecz i w innych krajach, podzielać będą wraz ze mną sceptycyzm co do możliwości potanienia kosztów pośrednictwa w handlu tego typu, co handel zbożowy, drogą tworzenia państwowego aparatu handlowego. Aparat taki z konieczności bowiem musi być mało elastyczny, ciężko i niesamodzielnie ad-

ministrowany. Istnienie jego wprowadza „sztywnienie" rynku. Wahania cen, zamiast maleć, wzrastają [1]).

Reasumując, można stwierdzić, że P. Z. P. Z nie są w stanie ani zmniejszyć amplitudy wahań sezonowych cen, ani przyczynić się wydatnie do większego udziału rolnictwa w cenach, uzyskiwanych za zboże. Zło P. Z. P. Z. polega na tem, że, nie będąc w stanie zastąpić handlu zbożowego, przez swe istnienie dezorganizują go. Pozatem zło P Z. P. Z. polega jeszcze na tem, że pochłaniają one znaczne środki państwowe, które mogłyby być z powodzeniem użyte na inne formy pomocy rolnictwu. Gdyby np. pieniądze dawane do dyspozycji P. Z P. Z. zużyć na obniżenie kredytu zastawowego (obniżyć to oprocentowanie np. do 2% rocznie, jak kredyt pod zastaw kartofli w Holandji), to efekt byłby bez porównania większy. Zwłaszcza w naszych warunkach, gdy nie mamy elewatorów Wreszcie — last but not least — zło istnienia P. Z. P. Z. polega na tem, że są one rodzajem nowotworu w organiźmie naszego handlu, nowotworu o stałej tendencji wzrostu. W dalszej konsekwencji istnienie P. Z. P. Z. prowadzić musi do państwowego monopolu handlu wewnętrznego (monopol handlu zagranicznego zbożem już właściwie istnieje [2]). Argumentów przeciw takiemu monopolowi przytaczać chyba nie potrzeba, gdyż są one dostatecznie znane. Dopóki nie jest całkowicie uregulowana kwestja konsumcji, dopóki nie istnieje system konsumcji „kartkowej" dla całego społeczeństwa — monopol taki musi przynosić olbrzymie straty Jak zaś wygląda konsumcja „kartkowa" — vide Z. S. R. R.

Organizacja handlu zbożem nastręcza zawsze specjalne trudności, wskutek niemożności przewidzenia rozmiarów zbiorów. U nas trudności te, w porównaniu z krajami zachodniemi, są jeszcze większe, wskutek niemożności przewidzenia również i rozmiarów konsumcji (konsumcja zbóż w krajach uprzemysłowionych jest względnie ustabilizowana). Wahania cen zbóż w zależności nietylko od rzeczywistych rozmiarów zbiorów, lecz również pod wpływem wiadomości o ewentualnych przyszłych zbiorach, są bardzo duże. Silną reakcją cen zboża na wiadomość o trudnościach w dowozie, czy to wskutek nieurodzajów, czy też wskutek jakichś przeszkód komunikacyjnych obliczył dla rynku londyńskiego jeszcze w XVII wieku King. Według tego opracowania zmniejszenie podaży o 10% przyczyniało się do zwyżki cen zboża o 30%, zmniejszenie podaży o 20% wywoływało zwyżkę cen o 80% i t. d., aż przy zmniejszeniu podaży o 50% następowała zwyżka o 450%. Odwrotnie przy zwiększonej podaży. Obecnie te obliczenia są bardziej skomplikowane. Trudno sobie wyobrazić by przy dzisiejszym stanie komunikacji mogła zwyżka cen zboża na jakimś rynku, nawet chronionym przez cło, dojść do 450% ceny początkowej. Lecz i dzisiaj ryzyko jest duże — i dzisiaj wiadomości o dużych zbiorach pszenicy w Argentynie czy Kanadzie, mają swój wpływ na poziom cen tego artykułu nawet w Pacanowie. Najlepsza forma zniesienia tego ryzyka przez organizm gospodarczy jakiegoś państwa jest rozłożenie go na wiele jednostek prywatnych gospodarujących. Wówczas bowiem działa prawo liczb wielkich, łagodzące jego skutki.

Jak już zaznaczono, główną bolączką rolników są duże wahania cen zbóż — a więc niskie ceny na jesieni i wysokie na wiosnę. Do wyrównania tych cen dążyć można nietylko drogą oddziaływania na popyt (zakupy interwencyjne), lecz również i przez regulowanie podaży ze strony samych rolników. Rolnicy sprzedają zboże na jesieni dlatego, że potrzebują gotówki. Przypływ gotówki może im zapewnić kredyt zastawowy. Jeżeli dotychczas stosunkowo niewielu rolników korzystało z kredytu zastawowego, to dlatego, że 1-o oprocentowanie tego kredytu jest wciąż jeszcze zbyt wysokie, a 2-o dlatego, że, zastawiając zboże, otrzymują zaledwie 50% jego wartości. Pomoc państwa mogłaby się wyrażać tutaj w obniżeniu oprocentowania i podwyższeniu kwoty pożyczki udzielanej pod zastaw np. do 85 — 90% wartości zboża. Ryzyko przy obecnych różnicach cen na jesieni i na wiosnę nie byłoby tak wielkie, jak mogłoby się to napozór wydawać. Jeżeli Skarb Państwa poniósłby przytem pewne straty, czy to z tytułu przejęcia ryzyka, lub z racji stałych świadczeń na rzecz obniżenia oprocentowania kredytu zastawowego, to straty te przyniosłyby więcej korzystnego efektu, niż straty ponoszone przy tranzakcjach kupna i sprzedaży zboża przez P. Z. P. Z.

Wydaje się, że P. Z. P. Z., które zostały powołane w okresie konieczności prowadzenia akcji doraźnej, wskutek załamania się cen zboża, a których znaczenie polegało przedewszystkiem na ich efekcie psychologicznym, dzisiaj w okresie pewnego rodzaju „stabilizacji" kryzysu zbożowego są przeżytkiem i powinny być zastąpione przez inny rodzaj ingerencji państwa, lepiej dopasowany do ogólnej budowy naszej gospodarki narodowej.

---

[1]) Ze sprawozdania kierownictwa P. Z. P. Z., wygłoszonego na dorocznej konferencji rolniczej w Min. Rolnictwa w czerwcu 1932 roku, wynikło, że P. Z. P. Z. zakupiły, chcąc podtrzymywać poziom cen w maju kilkadziesiąt tysięcy ton żyta. Wobec zniżkowej tendencji cen zbóż na giełdach zagranicznych i wobec oczywistego faktu, że ceny zbóż w Polsce po zbiorach spadną do poziomu ceny eksportowej, wszyscy posiadający jakiekolwiek remanenty zbożowe, wyzbywali się ich. Stąd zwiększony nacisk na rynek i stąd tendencja zniżkowa najzupełniej normalna wobec przewidywanego po zbiorach spadku cen (reguła Kinga!). P. Z. P. Z., chcąc zatamować tę tendencję zniżkową (w okresie czasu, gdy zboże w większej części nie jest już w rękach producentów), kupowały zboże po cenie zbliżonej do 30 złotych. Nawet w tym okresie czasu jednak nie wystarczyły możliwości P. Z. P. Z. na akcję interwencyjną do samego przednówk.a W rezultacie cena żyta na giełdzie poznańskiej spadła w przeciągu jednego dnia o 4 złote (ze zł. 28,62½ na zł. 24,75) i kształtowała się zniżkowo aż do zbiorów.

[2]) Patrz notatka „Polskie żyto" — „Gospodarka Narodowa" Nr. 1, 1933 rok.

JÓZEF PONIATOWSKI

PODATEK DOCHODOWY

Zanim będzie możliwe zreformowanie podatku dochodowego, konieczne jest uzdrowienie atmosfery, wytworzonej przez praktykę wymierzania tego podatku.

Koncepcja podatku dochodowego, z praktyki angielskiej poczęta, należy do najpiękniejszych zdobyczy skarbowości. Pozwala się zbliżyć do urzeczywistnienia najważniejszej zasady podatkowania — sprawiedliwości obciążeń. Zarzut prof. Aereboe'go i innych, jakoby podatek ten zniechęcał do wysiłków, mających na celu zwiększenie dochodu, miałby może uzasadnienie przy niezwykle wysokich stopach wymiaru, ale jeszcze przy stopie 50 — 60%, spotykanej w praktyce niewielu krajów i stosowanej tylko wyjątkowo, zachęta do zwiększania dochodu wydaje się wystarczająca. Inny zarzut, że opieranie budżetu na tak elastycznej podstawie jak wielkość dochodu społecznego, łączyłoby się z nadmiernem ryzykiem, znajduje odpowiedź, że elastyczność wpływów może być złagodzona przez zmianę stopy opodatkowania, żaden zaś system podatkowy nie zabezpiecza i nie powinien zabezpieczać przed pewną zależnością wpływów od wahań konjunktury. Dzięki podniesieniu stopy podatku podczas kryzysu Anglja, opierająca rzeczywiście budżet na podatku dochodowym (ściślej: na podatkach dochodowych) należy po czterech latach kryzysu da państw o najzdrowszym skarbie.

Doskonałość koncepcji jest wszakże abstrakcją w oderwaniu od warunków miejsca i czasu. Niema bowiem koncepcji doskonałej w każdem miejscu i w każdym czasie. Kapitalną wadą koncepcji podatku ,wymierzanego w stosunku do czystego dochodu jednostki, na podstawie własnych jej zeznań, jest możność racjonalnego zastosowania tylko w warunkach, panujących dziś zaledwie w niewielu krajach. Dostosowanie się do warunków czasu i miejsca oznaczałoby dla większości krajów wyrzeczenie się wprowadzenia podatku dochodowego, zanim ewolucja życia gospodarczego, oraz doskonalenie aparatu skarbowego pozwolą na jego wprowadzenie. Taka rezygnacja leżałaby w interesie przyszłego tryumfu podatku dochodowego, pozwalając uniknąć skomitowania jego idei. Czasowe poprzestanie na formach pierwotniejszych, gdy znane są formy teoretycznie doskonalsze, wymaga jednak od społeczeństw demokratycznych wielkiej dojrzałości. Trudno się więc dziwić, że większość krajów europejskich, wśród nich Polska, wprowadziło zbyt wcześnie podatek dochodowy. Miał on narazie pełnić funkcję uzupełniającą inne podatki, a przedewszystkiem powierzano mu rolę wychowawczą. Podobne założenie mogłoby nawet mieć wyższość nad czasowem zaniechaniem wprowadzenia podatku, przyśpieszałoby bowiem ewolucję, gdyby jego logiczne przeprowadzenie nie okazało się na ówczesne warunki zbyt trudne.

Ustawa z dn. 16 lipca 1920 r. wprowadziła podatek dochodowy (równocześnie z majątkowym) dla całego obszaru b. zaborów rosyjskiego i austrjackiego, gdy b. zabór pruski płacił już poprzednio podatek dochodowy na podstawie pruskiej ustawy z dn. 19 czerwca 1906 r. Ustawa polska wprowadziła podatek dla wszelkich (z przewidzianemi nielicznemi wyjątkami) dochodów, przewyższających oznaczone minimum. Jedyną większą koncesją na rzecz niedojrzałości stosunków było umiarkowanie stopy podatku, zresztą tylko przy niższych dochodach.

Pierwsze trzy lata działania ustawy o podatku dochodowym (1921 — 23) przypadły na okres inflacji i hyperinflacji. Najsumienniejsze obliczenia dochodów stawały się fikcją, przedsiębiorstwa miewały wielkie dochody bilansowe, tracąc równocześnie większą część wartości majątku, ale podatek obliczony od papierowych dochodów nie był zbyt groźny, bo także ulegał deprecjacji. Ten stan rzeczy nie mógł wytworzyć ani w społeczeństwie, ani wśród personelu skarbowego zrozumienia dla konieczności usilnego poszukiwania *rzeczywistych* rozmiarów *czystego* dochodu. Niestałość pieniądza musiała wywołać lekceważenie dla ścisłości obliczeń, a stąd płynąca demoralizacja mści się do dzisiaj. Tem bardziej, że w okresie niestałego pieniądza wytworzyła się tolerancja dla uproszczeń i dowolności, paczących cały sens tego podatku.

Wprowadzenie podatku dochodowego nastąpiło tedy conajmniej o trzy lata zawcześnie. Niepodobna o to obwiniać jego twórców, pozostawali oni bowiem pod bardzo silnym naciskiem ogólnego przeświadczenia, że Państwo nasze musi być odbudowane według najdoskonalszych, najbardziej nowoczesnych wzorów zachodnio - europejskich. Ta postawa społeczeństwa znalazła wyraz i w ultra - parlamentaryźmie, który gdzieindziej właśnie znalazł się u schyłku i w ustawodawstwie socjalnem i w sprawach oświatowych (bezpłatne nauczanie na wszystkich stopniach, przymus szkolny przy braku szkół), musiała znaleźć wyraz także w systemie podatkowym bez względu na brak środków, aparatu, wypróbowanych metod działania, zasobu doświadczenia.

Obok niewczesności ustawy z 16 lipca 1920 r opłakane skutki musiała wywołać jej powszechność, t. j. objęcie i tych terytorjów, gdzie stosunki najmniej do tego dorosły i tych grup płatników, których dochody są najtrudniejsze do uchwycenia. Zastępowanie podatku prostszego, np. gruntowego lub budynkowego przez podatek dochodowy ma tylko wtedy uzasadnienie logiczne, o ile pozwala bardziej się zbliżyć do obciążenia faktycznego dochodu. W wypadkach więc, gdy do całych grup ludności komisje szacunkowe zmuszone są stosować t. zw. „przeciętne normy" dochodowości, wolno

uznać wprowadzenie podatku dochodowego za niebezpieczną fikcję. Określenie dochodów ludzi, którzy wcale się nie orjentują w wielkości własnego dochodu prowadzi do tego, że podatnik zawsze uważa się za oszukanego, a urząd skarbowy — bardzo często również. Dlatego przepis, głoszący, że dla gospodarstw rolnych, oddalonych więcej niż o 5 km. od wielkich miast, przyjmuje się dochód z 1 ha nie wyżej 400 kg. żyta (w poprzedniem sformułowaniu 200 kg. z morga), okrzyczany, jako wyraz demagogji politycznej, uważam za wyjątkowo szczęśliwy i praktyczny. Nie paczy on rzeczywistości, bo wskazane normy są dwukrotnie wyższe od przeciętnych czynszów dzierżawnych i naprawdę są rządko osiągane, nie zmniejsza, z tej samej przyczyny dochodów Skarbu, pozwala natomiast nie brać wogóle pod uwagę gospodarstw mniejszych od 15 ha przy podatku dochodowym, dopóki przeciętna roczna cena żyta nie przewyższy 25 zł. za 1 q., a jeszcze przy cenie żyta 37,50 zł. za 1 q. nie interesować się gospodarstwami, mniejszemi od 10 ha. Drobny rolnik w Polsce ma tylko wyjątkowo dochody przewyższające ustawowe minimum egzystencji (1500 zł.), a nadto nie prowadzi rachunków i z tego powodu próby ścisłego obliczenia jego dochodu muszą być daremne.

Pomimo tego ważnego uproszczenia, pomimo stabilizacji waluty i pomimo 12 lat doświadczeń i szkolenia personelu podatek dochodowy nie działa sprawnie. Zamiast grać rolę wychowawczą stał się znakomitym demoralizatorem społeczeństwa. Zamiast, dzięki sprawiedliwości wymiaru, zyskać zaufanie i sympatję, jest powszechnie uważany za klęskę losową. Zamiast być terenem współpracy władz fiskalnych ze społeczeństwem, pogłębił między obu stronami niechęć i nieufność. Wyżej starałem się wyjaśnić, że pra-przyczyną tego stanu rzeczy jest przedwczesne i zbyt szerokie wprowadzenie ustawy. Czy jednak skutki tej pra-przyczyny mają trwać wiecznie?

Radykalnie pomogłaby zasadnicza reforma podatku dochodowego, polegająca na ograniczeniu jego działania do tych grup ludności, których dochody są uchwytne. Za uchwytne uważam: ogół dochodów, przewyższających minimum egzystencji w woj. zachodnich, a na pozostałym obszarze Rzeczypospolitej dochody ze stałej pracy najemnej (włącznie z tantjemami), dochody przedsiębiorstw obowiązanych do sprawozdawczości publicznej, dochody tych właścicieli nieruchomości czynszowych, którzy nie mają innych źródeł dochodu, wreszcie dochody tych wszystkich osób, fizycznych i prawnych, które poprą zeznania o dochodzie wystarczająco prowadzonemi rachunkami.

Jeżeli prowizoryczne obliczenie okazałoby, że takie ograniczenie zmniejszy w pierwszym roku wpływy skarbowe np. o 60 miljn. zł., należałoby powyższą sumę zwiększyć np. o 20% i otrzymane np. 72 miljony (liczby biorę z powietrza) rozdzielić możliwie sprawiedliwie na podatników, zwolnionych od podatku dochodowego w postaci specjalnych dodatków do podatku gruntowego, od nieruchomości, przemysłowego i t. p., nie pomijając przy tem wolnych zawodów. Opłacanie podatku dochodowego, zwalniającego od tych podatków specjalnych, stałoby się więc pewnego rodzaju przywilejem, zachętą do zaprowadzania rachunkowości, czynnikiem modernizacji życia gospodarczego

Taka radykalna reforma jest, niestety, nie do pomyślenia przy dzisiejszem nasileniu kryzysu[1]). Złagodzenie zaś, jeśli nie usunięcie, stron ujemnych podatku dochodowego jest nakazem konieczności. Wyjścia należy szukać w dziedzinie metod postępowania, a zwłaszcza w rozpowszechnianiu wśród władz skarbowych jednolitego rozumienia i stosowania ducha ustawy. Miałem już sposobność podkreślić wagę, jaką przy tem przywiązuję do kwalifikacyj personelu.

W dotychczasowem postępowaniu lokalnych władz skarbowych widzę dwa kardynalne grzechy: 1) przesadną podejrzliwość w stosunku do podatnika i 2) niedostatecznie szczere dążenie do ujawnienia *rzeczywistego* dochodu. Pomijam, oczywiście wszędzie możliwe, indywidualne nadużycia. Odraz też chcę uniknąć nieistotnego kontrargumentu, że wymiar podatku nie należy do urzędników, lecz do komisyj szacunkowych, złożonych z samych podatników, pod przewodnictwem naczelnika urzędu skarbowego. Możnaby wierzyć w skuteczność komisyj, gdyby ich członkowie bądź znali stosunki majątkowe każdego klijenta, bądź mogli wniknąć w przedkładane materjały. Pierwsze jest uniemożliwione przez zbyt duży zasięg terytorjalny komisji (zwykle powiat), drugie — przez niechęć do większego nakładu nieopłacanej pracy. Dopóki w b. zaborze pruskim działały podkomisje gminne, podatek dochodowy nie miał tam opinji dopustu losowego. Nie wysuwam tu dezyderatów organizacyjno - technicznych, stwierdzam jedynie, że w dzisiejszym stanie rzeczy o toku pracy komisyj szacunkowych i ich uchwałach decyduje przeważnie, w woj. wschodnich niemal wyłącznie, przewodniczący—urzędnik. Dlatego duch, panujący w urzędach pozostaje czynnikiem decydującym.

Usprawiedliwieniem ducha generalnej podejrzliwości podatkowej ma być nieuczciwość podatników. Należy jednak zdać sobie sprawę z następujących momentów: 1) wprowadzenie podatku dochodowego, opartego na deklaracjach jest wyrazem daleko posuniętego zaufania Państwa do społeczeństwa, a bez tego zaufania istnienie podatku jest nonsensem; 2) atmosfera posądzeń stwarza zawsze atmosferę nadużyć, a w szczególności metoda zwiększania zadeklarowanego dochodu na wypadek możliwości ukrycia jego części wręcz zmusza do nadużyć, bo deklarujący wie, że do zgłoszonej sumy dodadzą mu coś „na zapas"; gdy te dodatki w przybliżeniu są proporcjonalne do sum zgłoszonych wtedy uczciwość staje się karalna, 3) przy generalizowaniu podejrzeń malcje możność wykrycia rzeczywistych nadużyć. Postawienie całego społeczeństwa pod pręgierzem może tylko demoralizować, nigdy uzdrawiać stosunki. Jako zasadę trzeba przyjąć: złożonym deklaracjom się wierzy, w miarę możności technicznych kontroluje się obliczenia, co nie może być uważane za wyraz podejrzeń, natomiast w razie wykrycia fałszu karze się z największą surowością. Zapewne, dużo dochodów pozostanie ukrytych, nieukaranych i nieobciążonych. To trud-

———————

[1]) Ob. mój artykuł w n-rze 4-ym „Gospodarki" p. t.: „Reforma podatkowa".

no. Powiększanie, na wszelki wypadek, dochodów ogółu, aby się nie wymknął ten, kto zadeklarował zbyt mało, miałoby ten charakter, co przyjęcie przez sądy karania wszystkich podejrzanych, by się nie wymknął winowajca. Sądy, na szczęście, rozumieją, że mniej sprzeczne z moralnością jest nieukaranie winnego niż ukaranie niewinnego. Komisje szacunkow stosują karanie niewinnych tak pospolicie, że byłoby dziwnem, gdyby nie wzrastała liczba winnych.

Do jakich jaskrawości doprowadził system uogólniania podejrzeń, świadczy choćby taki przykładzik. Leży przedemną pismo urzędowe przewodniczącego jednej z komisyj skarbowych do jednego z rejentów. W piśmie tem znajduję takie zdanie: „Dochód wykazany z kancelarji notarjalnej w kwocie..... wydaje się być zbyt niskim ze względu na pomyślny okres operacyjny, jakim był rok 1930". Ani słowa więcej dla uzasadnienia tej tezy. W rok potem tenże rejent otrzymał analogiczne pismo już z dwoma argumentami: że rok 1931 był pomyślny (szkoda, że Instytut Badania Konjunktur Gospodarczych nie wiedział o tem), oraz, że personel notarjatu nie został zredukowany. Pomijamy już fakt, że można było skontrolować księgi bez formułowania uprzednio podejrzeń i, że rejenta zwykło się obdarzać większą dozą zaufania niż zwykłego śmiertelnika. Ważne jest natomiast to, że rejent jest obowiązany do ścisłego prowadzenia ksiąg i ewentualne nadużycia w tym zakresie są czemś więcej niż ukryciem dochodu przed podatkiem. Nie wiem, czy jest prawdą, że inny rejent, po otrzymaniu analogicznego pisma zażądał od urzędu prokuratorskiego wszczęcia sprawy bądź przeciwko sobie, o fałszowanie ksiąg notarjalnych, bądź przeciw naczelnikowi urzędu skarbowego, o oszczerstwo. Byłoby to w każdym razie, zupełnie logiczne.

Zapewne, przytoczonego przykładu nie wolno uogólniać. Jest jednak faktem, że przykład ten nie jest odosobniony, a przedewszystkiem, że podobne przykłady są do pomyślenia tylko w pewnej atmosferze. I dlatego nie wystarczy ukaranie jednego lub drugiego urzędnika, trzeba wlać w aparat nowego ducha.

Nie mniej ważne jest wyraźne i niesporne ustalenie, że komisje szacunkowe z przewodniczącymi włącznie, winny dążyć do opodatkowania *rzeczywistego* dochodu, a nie *możliwie najwyższego* dochodu. Dopóki to nie nastąpi, znowu o moralności podatkowej nie może być mowy. Dążenie, do określenia dochodu powyżej rzeczywiście osiągniętego jest niewątpliwie sprzeczne z ustawą, jest nadużyciem, choćby było popełniane dla błędnie rozumianego dobra Państwa. Dążenie to bywa uzasadniane tem, że skoro podatnik jest zainteresowany w najniższem oszacowaniu dochodu, musi urząd, dla równowagi, działać w kierunku przeciwnym, aby nie stworzyć położenia sądu z obrońcą a bez prokuratora. Warto jednak zauważyć, że podatnik dostarcza tylko wyjaśnień, a nie bierze udziału w rozprawach komisji, natomiast naczelnik urzędu działa w komisji jako sędzia, a nawet przewodniczący sądu i dlatego nie może mieć równocześnie oblicza oskarżyciela. Ma on dostateczną możność dopilnowania interesów Skarbu bez przedzierzgania się w stronę.

Dążenie do zbyt wysokiego szacowania dochodów niezwykle się zaostrzyło podczas kryzysu. Władze skarbowe uważają za dopuszczalne i możliwe, że dochód podatnika kurczy się w przybliżeniu proporcjonalnie do spadku cen artykułów przez niego sprzedawanych, ale gdy np. te ceny spadły o 30%, a podatnik wykaże spadek dochodu o całe 100%, to wydaje się napozór nieprawdopodobne, chociaż ekonomicznie jest najzupełniej uzasadnione. Dochody bardzo licznych podatników wogóle nie istnieją, obciążenie ich pomimo to właśnie podatkiem *dochodowym* kompromituje ten podatek z dużą szkodą dla przyszłości. W społeczeństwie krążą liczne legendy o kontyngentach podatkowych rzekomo wyznaczanych przez izby skarbowe urzędom powiatowym. Kontyngenty oficjalne wprawdzie nie istnieją, ale na terenie niektórych izb naczelnicy urzędów wiedzą, że izba spodziewa się od nich osiągnięcia takiego lub takiego wpływu. Skutek jest podobny. Ten system może być odpowiedni dla wykonywania „piatiletki", ale jest głęboko sprzeczny z ustawą o podatku dochodowym. Dawniej istniały jeszcze premje za wydajność urzędu (w postaci dowolności przyznawania dodatków funkcyjnych. Ustalenie tych dodatków jest objawem zdrowym i pozwala mniemać, że dalsze uzdrowienie stosunków rychło nastąpi.

Zmniejszenie podejrzliwości, a przedewszystkiem uczciwe dążenie do opodatkowania tylko rzeczywistego dochodu, tak, jak go określa ustawa, musiałoby się odbić na wydajności podatku. Tej redukcji nie należy przeceniać, bo np. rolnik, pracujący z deficytem, nałożonego podatku od nieistniejącego dochodu bardzo często nie jest w stanie zapłacić, więc niższy lub równy zeru wymiar zredukowałby nie wpływy a wzrost zaległości. W każdym razie wpływy także uległyby pewnemu zmniejszeniu, że zaś domaganie się dziś ofiar od Skarbu byłoby szaleństwem, przeto staje się koniecznem wskazanie pokrycia. Widzę je w podniesieniu stawek podatku dochodowego. Jest to najbardziej logiczny zabieg: w okresie malejących gwałtownie dochodów i malejącej liczby osób, mających dochody, pokrywanie potrzeb Państwa musi w daleko silniejszym stopniu obciążać pozostałe dochody. Tą drogą poszliśmy już w 1931 r., ustanawiając nadzwyczajny podatek kryzysowy. Można nią pójść dalej, ale tylko pod warunkiem pobierania podatku od rzeczywistych dochodów. Zwiększenie obciążenia dochodów urojonych byłoby nie do wytrzymania.

Pominąłem rozmyślnie, wiele zagadnień ważnych, dotyczących podatku dochodowego, jak zagadnienie podwójnego opodatkowania, natężenia progresji, sztywnego minimum egzystencji, zalegania z rozpatrywaniem odwołań i in., podobnie, jak pominąłem te wysiłki, chwalebne, ale niewystarczające, które mają służyć naprawie patologicznego stanu rzeczy. Chciałem tem silniej podkreślić niezbędność zasadniczej zmiany postawy urzędów skarbowych wobec podatku dochodowego i wobec społeczeństwa, co niewątpliwie przyczyni się do jeszcze ważniejszej zmiany: postawy społeczeństwa wobec obowiązków podatkowych i wobec Państwa.

UWAGI

NOWE FORMY — NOWE CELE.

Słyszy się bardzo często (patrz art. p. Adama Rose w Gazecie Polskiej z 9 marca b. r.), że ustawodawstwo polskie, mające na celu uregulowanie sprawy zadłużenia rolnictwa, oparte jest na zasadzie układu dobrowolnego, „że doprowadzanie do tego rodzaju układów stanowi wspólny i główny cel całego polskiego ustawodawstwa finansowo - rolnego“. Wbrew temu wniesiona ostatnio do sejmu serja ustaw w tej sprawie idzie w większości wypadków po innej drodze, kontynuując linję rozpoczętą przez t. zw. ustawę o konwersji kredytu długoterminowego, linję rozkazodawstwa gospodarczego. Zważywszy, że pierwsze ustawy, mające na oku ochronę interesu dłużnika rolniczego, istotnie szły wyłącznie po linji hamowania egzekucji, a tem samem jedynie zachęcały, a nie zmuszały wierzycieli do układu z dłużnikami, dzisiejszą fazę ustawodawstwa finansowo - rolnego traktować musimy jako novum, oparte o odmienną zasadę.

Ściśle biorąc, ustawy wydane w pierwszej fazie t. zw. akcji finansowo-rolnej, wogóle nie stanowiły posunięcia w kierunku uregulowania sprawy zadłużenia rolnictwa, nie miały wogóle tak daleko idących ambicji. Z gospodarczego punktu widzenia ustawy te, a więc ustawa o minimalnej cenie licytacyjnej, i ustawa wprowadzająca w rolnictwie instytucję nadzoru sądowego, miały na celu jedynie doraźną ochronę warsztatów rolnych przed załamaniem się ich pod ciężarem długów. Ustawy miały charakter wyraźnie negatywny, w tym sensie iż miały na celu zapobieżenie czemuś, nie zaś osiągnięcie czegoś, stwarzały faktyczne moratorjum. Supozycja, że dzięki tym ustawom nastąpi na szeroką skalę zawieranie układów dobrowolnych, nie była sprzeczna z prawidłowem myśleniem ekonomicznem, nosiła jednak pewne cechy dowolności. Kardynalnym warunkiem, niezbędnym, ażeby tak właśnie rozwinęły się wypadki, było, ażeby dłużnik chciał i mógł tego rodzaju układy zawierać. Krótko mówiąc, ażeby chciał i mógł płacić. Jak się zdaje, dłużnik (wielka własność rolna), nie miał przedewszystkiem zamiaru płacić. Bardzo prędko wytworzyło się w sferach wielko - rolniczych przekonanie, że w najbliższym czasie muszą pojawić się nowe ustawy, jeszcze bardziej poprawiające sytuację dłużnika. Z drugiej strony poziom cen artykułów rolnych nie wykazał takich zmian, które pozwoliłyby rolnikowi i jego wierzycielowi sądzić, że jeżeli dziś dany warsztat danej sumy zapłacić nie może, to jutro czy pojutrze będzie on mógł zapłacić sumę odpowiednio mniejszą. Przy obecnym stopniu nierentowności cen rolnych układy dobrowolne były narazie wykluczone, poza wyjątkowemi wypadkami. Na ogół biorąc ani rolnik, ani jego wierzyciel nie wierzyliby w większą realność nowych, złagodzonych zobowiązań przyjętych w drodze układu dobrowolnego, aniżeli zobowiązań starych, a niewykonywanych. Nie znaczy to jednak, ażeby nie można było liczyć, że z czasem warunki staną się bardziej sprzyjające dla zawierania układów, że z czasem groźba sprzedaży z licytacji (powyżej ceny minimalnej) przestanie być fikcją, a stanie się dopingiem jeśli nie do płacenia, to do układu, że z czasem poprawa cen rolnych pozwoli dłużnikowi wydzielić choćby minimalne sumy na spłatę długów. Posiłkowo można było iść po wskazanej przez lex Ludkiewicz drodze, ułatwiania parcelacji na cele spłaty długów. Nie ulega zresztą wątpliwości, że żywsza fala układów dobrowolnych mogłaby się zjawić dopiero w przededniu, czy w momencie pewnej poprawy konjunktury. Układ dobrowolny bądź co bądź dochodzi do skutku tylko wtedy, kiedy dłużnik może powiedzieć wierzycielowi: „jeśli się ze mną ułożysz, to postaram się zapłacić ci jak najwięcej; jeżeli nie, to rób co chcesz, ale pamiętaj, że na tem stracisz“ i kiedy wierzyciel może powiedzieć dłużnikowi: „nie żądam abyś zapłacił wszystko i natychmiast, płać jednak choć trochę, bo w przeciwnym razie będę musiał egzekwować co się da“. Warunkiem tego rodzaju stanu umysłów jest tak poziom dochodowości rolnictwa, który pzostawia pewną przewyżkę wpływów ponad bieżącemi kosztami prowadzenia warsztatu i taki poziom cen rynkowych ziemi, inwentarza i t. d., oraz popytu na nie, który pozwala liczyć na uzyskanie przynajmniej „ceny minimalnej“. Innemi słowy, z tego, że mechanizm układów dobrowolnych nie działał, bynajmniej nie można byłoby wnioskować, że w pewnym momencie nie zacznie on funkcjonować z pożądanem natężeniem i w pożądanym kierunku.

Jeżeli zatem w obecnej fazie ustawodawstwo finansowo - rolne odrzuca dla wszystkich kategorji kredytu, z wyjątkiem kredytu krótkoterminowego zorganizowanego, zasadę dobrowolnego układu, to trudno byłoby znaleźć wystarczające uzasadnienie tego w dotychczasowym niedorozwoju układów dobrowolnych.

Zmiana metody działania tłomaczy się zmianą celów. Różnica celów najwidoczniejsza jest w sprawie wysokości oprocentowania. Jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy właśnie ta sprawa byłaby poddawana rewizji w układach dobrowolnych. W stosunku do dłużników o dużej zdolności płatniczej nie powstałaby wogóle kwestja ulg co do sumy i odsetek, lecz jedynie kwestja rozterminowania spłat. W stosunku do dłużników przeciążonych długami redukcja dotyczyłaby niewątpliwie sumy dłużnej, nie zaś odsetków, które pozostawałyby na poziomie rynkowym, — chociażby dlatego, że w wielu wypadkach wierzyciel pragnąłby zachować możność zbywania swej wierzytelności na rzecz osób trzecich.

Ingerencja ustaw w sprawę odsetek od zobowiązań rolniczych musi być uznana jako podyktowana nowym celem, celem nie już ułatwienia spłaty, lecz celem zmniejszenia realnego ciężaru długów.. Wysokość odsetek została przytem dostosowana do ram ogólnej koncepcji kosztów reglamentowanego kredytu.

Drugim nowym momentem jest kwestja terminów spłaty. Tam, gdzie dotychczasowe ustawodawstwo finansowo - rolne określało terminy spłaty zobowiązań krótkoterminowych, a mianowicie w

ustawie o urzędach rozjemczych dla drobnej własności, figurował termin trzyletni. Można powiedzieć, że termin trzech lat tłomaczył się w ramach polityki ułatwień płatniczych nie stawiającej sobie żadnych szerszych ambicji. Natomiast termin siedmioletni, o jakim mówi ustawa w stosunku do kredytu niezorganizowanego i o którym wpomina p. Adam Rose, jako przypuszczalnym terminie dobrowolnych układów dla kredytu zorganizowanego, odpowiada pojęciu z. tw. kredytu średnioterminowego. Tu zatem mamy również novum. Mamy już nietylko dążenie do stworzenia pewnej ulgi, pewnego odciążenia, ale wręcz wyraźny program przekucia kredytu krótkoterminowego na nowa dla Polski instytucję, kredytu średnioterminowego.

Dla ścisłości dodać należy, że formalne zachowanie zasady dobrowolnego układu na odcinku t. zw. kredytu zorganizowanego, t. zn. udzielanego przez instytucje kredytowe, nie stanowi wyłomu w powyższych rozumowaniach. Dobrowolność jest tu tylko pozorna. Wierzyciele tego typu są nieliczni, uchwytni i zależni od Rządu. Wreszcie przewidziane ustawą udzielenie pomocy państwowej wierzycielowi, zawierającemu układ, uwarunkowane będzie oczywiście zastosowaniem się do wskazówek Państwa.

Faktyczne zastosowanie zasady przymusu do regulowania sprawy zadłużenia rolniczego jest w świetle rozważań powyższych logiczną konsekwencją nowych celów jakie postawiło sobie ustawodawstwo finansowo - rolne. Oczywiście trudno było liczyć, że ściśle dobrowolne układy uregulują sprawę zadłużenia akurat zgodnie z tą określoną i jednolitą koncepcją, która leży u podłoża nowych ustaw.

Rzecz prosta, że jeżeli występuje się z tego rodzaju określoną koncepcją, to z punktu widzenia kształtowania się rynku kredytowego, ryzyko jest znacznie większe, niż jeżeli dąży się jedynie do puszczenia w ruch mechanizmu układów dobrowolnych. Skutki ustawodawstwa pojętego w ten właśnie sposób muszą być znacznie szersze również w płaszczyźnie dłużników, a nietylko wierzycieli. Konkretnie biorąc, idzie o to, że w obecnej fazie ustawodawstwa finansowo - rolnego z przywilejów dla dłużnika skorzystają również i te warsztaty, które na to pod względem gospodarczym nie zasługują, że niestety ubocznym rezultatem nowej fazy tego ustawodawstwa będzie zahamowanie procesu eliminowania najsłabszych finansowo warsztatów. Wyrażając się nieściśle, przeszliśmy od fazy ułatwień dla dłużnika do fazy ochrony obecnego posiadacza warsztatu rolnego. Osobny, a nadzwyczaj interesujący problem stanowi zagadnienie, na kogo właściwie spada ciężar tej operacji. *c. k.*

FRANK NA GŁOWĘ.

Frank — oczywiście — szwajcarski. Ale nawet ta jednostka tak „silnej" waluty nie czyni imponującego wrażenia, o ile zważymy, że tyle właśnie wynosił w lutym 1933 roku przywóz na głowę ludności Rzeczypospolitej Polskiej.

Kurczenie się naszych obrotów zagranicznych było faktem, obserwowanym już od szeregu miesięcy, a nawet lat. W roku 1930 przeciętna wartość miesięcznego przywozu wynosiła na głowę ludności ok. 6 zł. na głowę, w 1931-ym—4 zł. na głowę, a w 1932 — około 2 zł. 20 gr. W lutym roku bież. przywóz wyniósł wartość około 55 miljonów złotych, co odpowiada przeciętnej 1 zł. 72 grosze na głowę. Akurat — frank szwajcarski.

Ekonomiści, którzy w roku ubiegłym omawiali wspomniane zjawisko, „uchwalili", iż t. zw. przywóz niezbędny, a więc surowce i niezbędne półfabrykaty i fabrykaty, utrzyma się w każdym razie na granicy 60 miljonów złotych miesięcznie. Widzimy, iż rzeczywistość zadała kłam ich przewidywaniom — i to bardzo szybko. Spadliśmy już do 55 miljonów złotych (prawda, że w nieco krótszym od innych miesiącu lutym), a do jakiego poziomu spadniemy w przyszłości — zupełnie niewiadomo. .

Innemi słowy, doszliśmy do tej sytuacji, kiedy można już powiedzieć, że, gdyby każdy obywatel polski bez różnicy wieku, płci i wyznania kupił był sobie w lutym r. b. paczkę papierosów Laurens'a (Extension suisse), to wynik tego zakupu byłby identyczny z realnym wynikiem naszego przywozu w tym miesiącu. Dodać należy, iż papierosy Laurens'a po franku paczka są raczej niesmaczne, gdyż w Szwajcarji uchodzą za tanie...

Nie chcę robić więcej dowcipów, bo położenie bynajmniej do tego nie usposabia. Z polskim handlem zagranicznym dzieje się doprawdy niedobrze. Jeśli przy tego rodzaju już nie głodowym, ale wprost „umierającym" przywozie mamy tylko 10 miljonów salda dodatniego, oznacza to, iż w praktyce siła naszego wywozu maleje z każdym dniem. Jednocześnie jednak obserwujemy inne zjawisko: handel zagraniczny innych krajów, spadający od kryzysu w połowie 1931 roku w tempie zupełnie błyskawicznem, w ostatnich czasach jakdyby „zawahał się". Nie znaczy to, aby spadek został zahamowany — o, nie... Ale w każdym razie tempo nieco zmalało. U nas teraz dopiero poczyna on lecieć doprawdy na złamanie karku — bo w proporcjach, których niktby jeszcze kilka miesięcy temu nie przewidywał.

W 1932-im roku na prawie 862 miljony zł. wartości ogólnego przywozu przywieźliśmy t. zw. pseudo - zbędnego (albowiem, zdaniem naszem, niema wogóle „zbędnego" przywozu z chwilą, gdy przywóz idzie...) za 3 milj. zł. pszenicy, za 1,1 milj zł. żyta, za 0,6 milj. zł. kukurydzy, za 4 milj. śliwek, za 7,8 milj. pomarańcz i cytryn. Nikt chyba nie będzie liczył do owego „zbędnego" przywozu 84 milj. złotych, wydanych na kawę, herbatę, śledzie i tytoń... To chyba wolno?...

Cóż jeszcze przywieźliśmy „niepotrzebnie?"... Może samochodów za 7,6 miljonów? Może papieru za 21 miljonów zgórą?... Może za 36 miljonów zł gotowych wyrobów włóknistych? Jeśliby nawet założyć, że nie sprowadzimy ani jednego szala jedwabnego z zagranicy, że nieliczna resztka tych, którzy mogą sobie pozwalać na auta, będzie jeździła tylko „Polskim Fiatem", że Steinhagen zapanuje niepodzielnie nad wszystkiemi wydawnictwami, że nie zjemy ani jednej pomarańczy, cytryny, jabłka ka-

nadyjskiego i t. d., to wówczas — ach wówczas surowce? półprodukty przemysłowe i środki produkcji", uznane za przywóz „niezbędny" wyniosłyby w 1932 roku — niewiele mniej niż 800 miljonów zł. Niewielka różnica w porównaniu z rzeczywistością...

Jeśli więc przywóz spadł już na 1 zł. 72 gr miesięcznie na głowę, to niewątpliwie nie dlatego, że robimy „zbytki" zagranicą... O nie. W 1932 roku spadł przywóz ogólny w porównaniu z 1931 rokiem o przeszło 41%, jakkolwiek np. przywóz tytoniu wzrósł, przywóz kawy i herbaty spadł o 27%, pomarańcz i cytryn — 22% i t. d. i t. d. Te drobne pozycje „zbędne", które jeszcze nam w przywozie pozostały albo się nie zmniejszają, albo, zmniejszając się nawet silnie, odgrywają tak minimalną rolę w ogóle przywozu, iż nie wpływają zupełnie na ostateczny rezultat. Co więc decyduje o spadku przywozu? To np., że w ciągu jednego roku pozycja metali i wyrobów z metali spadła ze 110 milj. zł. do 52 milj., przyczem przywóz szmelcu dla hut spadł z 35,2 milj. zł. na... 7,8 milj. zł. To, że w tym okresie pozycja maszyn i aparatów skurczyła się o zgórą 55%, pozycja aparatów elektrycznych — o równe 50%, pozycja rud żelaznych spadła do 25% zeszłorocznej wartości i t. d. i t. d. Na katastrofalny spadek naszego przywozu nie wpływa już zupełnie niemal doprowadzona do minimalnych granic konsumcja produktu zagranicznego przez ludność, ale przyczyną tego jest zamierające życie produkcyjne kraju. Kwestja, czy ktoś w chwili obecnej kupuje francuskie perfumy, czy — nie (o ile go, oczywiście, wogóle na nie jeszcze stać...) nie odgrywa z punktu widzenia gospodarczego żadnej roli. W tym symbolicznym franku szwajcarskim na głowę ludności zawiera się ona w udziale nie większym niż kilkanaście centymów...

Nie chcemy w ramach szczupłej uwagi wyciągać z tego faktu wniosków, co do naszej polityki handlowej w stosunku do zagranicy. Zastrzegamy sobie jednak zajęcie stanowiska w tej mierze w nieco obszerniejszym artykule.

t. l.

AKCJE BANKU POLSKIEGO.

Dokonana w dn. 9 lutego b. r. zmiana statutu Banku Polskiego nie ograniczyła się tylko do zmiany zasad pokrycia obiegu, lecz zmodyfikowała również kilka innych postanowień. Wrażenie zmiany zasad pokrycia (komentowanej często w kraju i zagranicą jako powrót Polski do goldstandard'u (!) było tak duże, że w ogólnym rozgwarze zapomniano o innych zmianach, — może równie godnych uwagi i dyskusji. Otóż pozwalamy sobie przypomnieć na tem miejscu już zapomniane czy też poprostu zbagatelizowane inne zmiany statutowe. Czynimy to poprostu w tym celu, aby na przykładzie wykazać, jak publiczność polska słabo jeszcze orjentuje się w sprawach najżywiej ją dotykających i jak wskutek tego niemal bezboleśnie daje się nabijać w butelkę.

Chodzi o akcje Banku Polskiego — rzecz niebylejakiej wagi. Bank Polski jest największą spółką akcyjną w kraju, jego akcje stanowią gros obrotów giełdowych, a były w r. 1924 subskrybowane przez tysiące obywateli, przeważnie urzędników, którzy subskrypcję ich uważali za obowiązek obywatelski. Dzięki składkom tych tysięcznych rzesz powstał kapitał Banku Polskiego. Jakiż los spotyka teraz te akcje? Walne Zgromadzenie Akcjonarjuszów w dn. 9 lutego b. r. — na którem ogół akcjonarjuszy był reprezentowany — rzecz zwyczajna — przez posiadaczy grubszych portfelów, uchwala zmiany m. inn. następujące:

Począwszy od kwietnia 1934 r. Bank Polski rozpocznie konwersję starych akcyj na nowe. Konwersja zostanie przeprowadzona w ten sposób że będą wydawane akcje imienne w odcinkach łączących conajmniej 25 akcyj. Akcjonarjusze, którzy będą posiadać mniej niż 25 akcyj, otrzymają nie akcje imienne, lecz akcje okazicielskie, których w żadnym wypadku nie będą mogli zamienić na imienne (por. art. 5 statutu). Skutek konwersji będzie taki, że wszyscy posiadacze akcyj okazicielskich — do których będą należeć wszyscy ci akcjonarjusze, którzy w chwili konwersji posiadali mniej niż 25 akcyj, zostaną pozbawieni prawa uczestnictwa na Walnem Zebraniu (art. 11) zarówno bezpośredniego, jak i pośredniego — przez pełnomocników (art. 18). Według art. 16 statutu w nowej redakcji „do uczestniczenia w Walnem Zebraniu uprawnieni są *tylko* właściciele akcyj imiennych, którzy... etc.". Według postanowień dotychczas obowiązującego statutu prawo jednego głosu dawało 25 akcyj; posiadacze mniejszych pakietów mogli się łączyć i delegować wspólnego pełnomocnika. Obecnie prawo delegowania pełnomocnika zostało zniesione. Czyż nie jest to oczywiste pogwałcenie zasad prawa akcyjnego? Należy przytem zważyć, że z biegiem czasu będzie wzrastać ilość akcyj okazicielskich wskutek rozdrabniania się większych pakietów akcyj imiennych (przez wyprzedaże, działy spadkowe) — i stąd wpływ na Bank wywierać będą tylko wielcy akcjonarjusze, a masa drobnych akcjonarjuszy, choćby reprezentowała w sumie większą część kapitału akcyjnego, będzie pozbawiona głosu.

Jeżeli motywem tych zmian statutowych była chęć uniknięcia kłopotów, jakie nastręcza masa drobnych akcjonarjuszy, to czy nie należało raczej pójść drogą wykupu i zniesienia akcyj okazicielskich i stworzenia większych odcinków akcyj imiennych, niż wprowadzać zmiany krzywdzące drobnych akcjonarjuszy i w dodatku sprzeczne z zasadami prawa akcyjnego?

Są w uchwalonych zmianach statutu jeszcze inne kwiatuszki mniejszej wagi, które na tem miejscu pomijamy. Zmiany statutu Banku Polskiego podlegają zatwierdzeniu ciał ustawodawczych. Zobaczymy czy Sejm nasz i Senat rozprawią się w równie bezceremonialny sposób z prawami drobnych akcjonarjuszy, jak to uczyniło dostojne Zebranie Akcjonarjuszów Banku?

S.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

PIA DESIDERIA

Zagraniczna polityka handlowa i traktatowa jest tą częścią polityki gospodarczej państwa, w której specjalnie silnie obok przesłanek objektywnych gra rolę czynnik czysto praktycznych możliwości realizacyjnych.

Uwaga pt. Bilans pracy, zamieszczona w Nr. 5-tym „Gospodarki Narodowej" z dn. 1 marca rb. przez p. Władysława Diamanda zwróciła moją uwagę nietylko oryginalnością ujęcia „meritum" tematu, ale przedewszystkiem tem, iż stanowi ona sui generis symptomat poglądów znacznej części naszego społeczeństwa na kwestje, związane z gospodarczemi naszemi stosunkami z zagranicą. P. Diamand, jak wiemy, wystąpił z projektem zamiany dotychczasowego „głównego motywu gospodarczego", jakim według niego był w rokowaniach o traktaty handlowe bilans płatniczy, na „bilans pracy", a więc o wzięcie pod uwagę w układaniu stosunków wymiennych z zagranicą nietylko cyfrowego wyniku zamierzonych posunięć, ale i odbicia, jakie mogą mieć na rynek pracy w Polsce. P. Diamand twierdzi, iż „walka o przerzucanie bezrobocia z kraju na kraj" (bardzo ładne wyrażenie...) rozgorzała na dobre i że obowiązkiem naszym jest bronienie się przed narzuceniem nam tego bezrobocia w formie przywozu gotowych produktów zagranicznych wzamian za nasz rolniczo - surowcowy wywóz.

Odrazu — dla uniknięcia wszelkich nieporozumień — gotowy jestem stwierdzić, iż tezę p. Diamanda z teoretycznego punktu widzenia całkowicie podzielam. Niewątpliwie najlepiej byłoby, abyśmy wywozili wyłącznie gotowe produkty, przywozili surowce dla naszego przemysłu (ileż to się zarabia obecnie na ich niskich cenach...) Przed przywozem produktów rolnych drżeć nie mielibyśmy poco. Wprowadzając prohibicyjne barjery celne czy wprost zakazy przywozu bylibyśmy, jak to się mówi — w „doskonałem towarzystwie" wszystkich państw, możnych tego świata. I, oczywiście nasz „bilans pracy", jak go chce nazywać p. Diamand, byłby wybitnie dodatni...

Jeśli jednak godzę się na teoretyczną stronę wywodów p. Diamanda, to pragnę jednocześnie zaznaczyć, iż „teoretyczność" rozumowania posunięto tu zbyt daleko. Z równem powodzeniem możnaby np. dyskutować o tem, iż, powiedzmy, robotnik w fabryce „powinien" żądać od swego pracodawcy, aby ten płacił mu tyle, ile wynoszą koszty trzypokojowego mieszkania z łazienką i przyzwoitego utrzymania dla, powiedzmy, pięciu osób... P. Diamand odpowie mi napewno, iż robotnik istotnie „powinien" żądać Niemniej jednak, zauważyć wypada, iż robotnik zazwyczaj żąda czegoś zupełnie innego. Liczy się z tem, iż dezyderaty swe z konieczności musi ograniczać do rzeczy najważniejszych poprostu dlatego, iż jest owa „druga strona", która jest odeń silniejsza, i że wobec tego nie sposób snuć „pobożnych życzeń", a trzeba natomiast koncentrować się na tem, co jest naprawdę i ważne i osiągalne jednocześnie. Taka różnica jest właśnie pomiędzy *polityką*, jaką prowadzi normalny związek zawodowy, a demagogją trybuna wiecowego, zamykającego w wykrzykiwaniu przez siebie dezyderaty owe „pia desideria", w których ziszczalność sam właściwie nie wierzy...

Wygląda tak, jakgdyby panu Diamandowi, kiedy daje on wskazówki, jak należałoby prowadzić politykę handlową Polski w stosunku do zagranicy, nie przychodziło, ani na chwilę na myśl, czy też to wogóle w minimalnym nawet procencie jest do zrealizowania? Ale nietylko chodzi o to, iż p. Diamand zapomina o owym „consensus" w każdej umowie, który zawsze „faciunt duo". To nietylko zapomnienie — ale wprost nieliczenie się z różnicami w postępie gospodarczym poszczególnych krajów, pomijanie pracy minionych pokoleń i przechodzenie do porządku dziennego nad zasadniczą kalkulacją sił w gospodarstwie międzynarodowem. Gdyby p. Diamand napisał wszystko to, co zamieścił w omawianej uwadze, jako uboczny przyczynek do naszej sytuacji gospodarczej w dalszej przyszłości, gdyby — innemi słowy — uznał, iż w międzynarodową walkę konkurencyjną weszliśmy ubodzy i słabi i tylko stopniowo dopiero zaczniemy się windować na wyższe coraz to poziomy, odgryzając się na wszystkie strony w miarę możności przeciwko wszystkim tym, którzy chcą nam robić już wielką krzywdę, wtedy wszyscyby musieli się z nim zgodzić (bo, jak powiadam, teza jest zupełnie słuszna), ale wówczas nie byłoby wogóle zagadnienia: poprostu stałoby się tak, jak chce p. Diamand, w naturalnym porządku rzeczy. P. Diamand, przyzwyczajony, widocznie, do tego, iż polityka gospodarcza nawewnątrz ma bez porównania większą skalę swobody ruchów od zagranicznej polityki handlowej, przepisuje zakres dezyderatów z pierwszej na drugą, nie troszcząc się zupełnie, co np. powiedziałoby na dezyderat taki państwo, gdzie, istotnie, głównym trzonem dochodu społecznego stał się przemysł, gdzie na fundamentach, założonych od dziesiątków i więcej lat, wyrósł znaczny dobrobyt klasy robotniczej, do którego — powiedzmy to otwarcie — klasa ta ma pewne prawa tak, jak dziecko, na wychowanie którego pracowali rodzice w pocie czoła przez całe ich życie, do wychowania tego ma więcej prawa od innego. Krótko mówiąc, p. Diamand zamyka w konkretny dezyderat to, co musi być naszym celem na bardzo odległą przyszłość, do czego będziemy mieli prawo tylko o tyle, o ile sobie na nie zapracujemy, przyczem praca bynajmniej nie będzie krótka i lekka. Jeśliby p. Diamand zaś miał twierdzić, iż w tego rodzaju fatalizmie tkwi głęboko niesprawiedliwe różniczkowanie, niechże porówna po-

litykę gospodarczą tego lub innego narodu zachodnio - europejskiego w okresie, powiedzmy, ostatnich trzystu lat, z tem, co działo się w ciągu dwuch ostatnich wieków, powiedzmy, w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, dodając do tego wiek utraty samodzielności politycznej. Wówczas napewno z wielką jasnością uprzytomni mu się, dlaczego to Polska nie może regulować swego „bilansu pracy“ .. w zawieranych przez nią obecnie traktatach handlowych.

Tyle — co do konkretnych projektów p. Diamanda. Ale, jak powiedziałem, zwróciły one moją uwagę nietylko z uwagi na swe „meritum“, ale i jako symptomat naszego stosunku do zagranicy w dziedzinie zagadnień gospodarczych. Miałem możność stwierdzenia, iż w całym szeregu wypadków dezyderaty nietylko poszczególnych jednostek gospodarujących, ale większych firm a nawet i organizacyj gospodarczych wykazywały absolutne niezorjentowanie się w realnych możliwościach uzyskiwania tego czy innego ustępstwa od jakiegoś zagranicznego kontrahenta handlowego Polski. Prym w tym wypadku wiedzie, oczywiście, prasa codzienna, która z jednej strony („ku pokrzepieniu serc“ widocznie) nie ominie żadnej okazji, aby urbi et orbi oznajmić o „doskonale rozwijającym się wywozie“ „albo o „zwycięskiej penetracji“ tego czy innego produktu na jakiś rynek zagraniczny, z drugiej zaś (kiedy dany kraj, odpowiednio zaalarmowany, poczyna wywóz nasz gnębić) wpada w święte oburzenie, żądając „natychmiastowych kroków“ ze strony rządu. Brak wszelkiego poczucia istotnego stanu rzeczy w stosunkach naszych wobec innych państw na terenie gospodarczym doprowadza nieraz do wysuwania ze strony t. zw. sfer gospodarczych tego rodzaju żądań, które określa się zazwyczaj jako nadające się do zrealizowania, „kiedy armja polska będzie stała pod stolicą kontrahenta“, a więc poza wszelkim rozsądnym wymiarem. Rozbrajająco wprost działać muszą niekiedy motywy tego rodzaju „żądań“, powołujące się na to, iż dane państwo „powinno“ nam w tem lub owem pójść na rękę bo... łączą je z nami przyjazne stosunki polityczne, albo bo... wyroby polskie, wywożone na dany rynek są wysokiego gatunku, albo — co już najlepsze — że są tańsze od produkcji krajowej danego państwa importującego... Wszystko to robi się i mówi zupełnie poważnie, bez najmniejszej wątpliwości co do skuteczności przytaczanych argumentów — i dziwi się potem, iż... mimo wszystko trudności nie ustają...

Mam wrażenie, iż chodzi tu o znacznie ważniejsze zagadnienie niż się napozór wydaje. Przewaga uczuciowości nad realizmem w naszem życiu państwowem i społecznem jest ciągle bardzo silna, a szczególnie jaskrawo występuje ona w zagadnieniach gospodarczych. Wystarczy przeczytać uważnie szereg „społecznych“ artykułów naszej Konstytucji, aby stwierdzić, iż układana była ona nie jako ustawa zasadnicza, która ma obowiązywać w pełnym zakresie, ale jako sui generis manifest, głoszący, jak „powinny być“ rozwiązane pewne zagadnienia zasadnicze. Ta rozbieżność pomiędzy realizmem rzeczywistości naszej a „szklanemi domami“ naszej wyobraźni uwydatnia się, może, najsilniej w zetknięciu się na gruncie owego realizmu z obcemi organizmami gospodarczemi. Jeśli istotnie obecne „pia desideria“ mają się kiedyś przyoblec w szaty realności, jeśli istotnie kiedyś Polska ma zajmować w gronie narodów europejskich miejsce poczesne jako silny gospodarczo element w życiu ekonomicznem Europy i świata, to pierwszym warunkiem tego jest wyzbycie się przez nas wszelkich „pobożnych życzeń“ na chwilę dzisiejszą i skoncentrowanie się na jednej płaszczyźnie — płaszczyźnie walki o każdą piędź terenu z tym naporem gospodarczym zzewnątrz, który jest dla nas groźny, przy jednoczesnem politykowaniu z tem wszystkim, co zagranicą może przyczynić się do naszego konkretnego zarobku na najbliższą metę. Nie o „bilans pracy“, ale o korzystny bilans trudno osiągalnych korzyści i ciężkich ustępstw musi Polska walczyć z zagranicą w pierwszych latach swej samodzielności gospodarczej po trzech wiekach nirwany swej polityki gospodarczej.

WALNE ZGROMADZENIE

członków „Gospodarki Narodowej“ spółdzielni z ogr. odp. w Warszawie.

Dnia 11 kwietnia 1933 r. (wtorek) o godz 19-ej w lokalu dwutygodnika „Gospodarka Narodowa“, Szpitalna 4 m. 18, odbędzie się

DOROCZNE WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW „GOSPODARKI NARODOWEJ“
spółdzielni z ogr. odp. w Warszawie

z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie,
2. Wybór prezydjum Zebrania,
3. Sprawozdanie za rok 1931/32,
4. Przyjęcie bilansu oraz rachunku strat i zysków,
5. Podział czystego zysku,
6. Wybory Rady Nadzorczej,
7. Wolne wnioski.

Rada Nadzorcza:
Cz. Bobrowski.
J. Poniatowski.
K. Sokołowski.

Warszawa, dn. 15 marca 1933 r.

NOTATKI

JESZCZE RAZ UBEZPIECZENIA.

W numerze 5 Gospodarki Narodowej, autor podpisany inicjałami C. S., którego pełne nazwisko znam i szczególnie cenię, opowiada interesującą i charakterystyczną historję rozbicia się konferencji w sprawie czasu pracy w górnictwie węglowem. Jak wynika z tej notatki niedojście do porozumienia spowodowane było między innymi tem, „że w Wielkiej Brytanji praca w niedzielę popołudniu nie mogłaby być zastąpiona pracą w sobotę popołudniu, gdyż w ten dzień i o tej porze odbywają się mecze i robotnicy angielscy przywykli brać w nich udział". Incydent nie jest bynajmniej drobnym, jest natomiast niezmiernie charakterystyczny. Wbrew autorowi notatki, którego intencją było o ile rozumiem podkreślenie, że drobne przyczyny mogą wywoływać wielkie skutki, wydaje mi się, że sprawa bynajmniej nie jest drobna. Chodzi mianowicie ni mniej ni więcej, jak o niechęć nałamania się, podporządkowania pewnych przyzwyczajeń życiowych, pewnego tradycyjnego trybu życia nowym ramom międzynarodowej unifikacji. Czy natomiast rzeczywiście odmowa ratyfikacji konwencji przez Anglję spowodowana została tą przyczyną, czy też przyczyny tej użyto jedynie jako pozoru, nie wiem, ale mam wrażenie, że rzeczywiste motywy raczej leżały poza tą sprawą. Że sprawa meczów była tylko pozorem, a istotną przyczyną cały kompleks momentów gospodarczych. Gdyby nie było innych trudności, to zapewne okazałoby się możliwem przystosowanie treści konwencji do zamiłowania jakie robotnicy angielscy mają do meczów footbalowych.

Powyższe uwagi czynię zresztą tylko nawiasowo. chcąc się autorowi zrewanżować za podjęcie polemiki z moją „uwagą", zamieszczoną w numerze 4 Gospodarki. Nie bardzo rozumiem. dlaczego p. C. S. obrał sobie historję z meczami footbalowymi jako odskocznię do zaatakowania moich tez. W świetle chociażby moich powyższych wątpliwości co do istotnej wagi sprawy meczów w odmowie ratyfikacji konwencji przez Anglję, argument nie wydaje mi się szczęśliwie wybrany. Natomiast autor zupełnie niepotrzebnie zadał sobie trud udawadniania, że na zagadnienia polityki społecznej również i zagranicą wpływają momenty poza gospodarcze. Jestem o tem święcie przekonany. Natomiast jeżeli podkreślałem, że właśnie w naszej polityce społecznej decyduje rozgrywka sił społecznych i politycznych, a nie momenty gospodarcze, to nie dlatego, ażeby podkreślić różnice stosunków naszych i zagranicznych, a poprostu ażeby stwierdzić fakt, który jest prawdą. Jeżeli mam być szczery i postawić kropkę nad i, to chodziło mi w moim artykuliku przedewszystkiem o stwierdzenie bezcelowości dyskusji *gospodarczej na temat ubezpieczeń* społecznych. Chodziło mi o powiedzenie sferom gospodarczym i pewnemu odłamowi ekonomistów: szkoda gadać — sprawa rozwiąże się niezależnie od dyskusji ekonomicznej. Pan C. S. zupełnie niesłusznie przeciwstawia moim poglądom twierdzenie, że nietylko w sferze naszych ubezpieczeń społecznych, ale w życiu każdego państwa współczesnego decydują częstokroć i decydować będą momenty silniejsze od rozumowania gospodarczego. Nietylko, że się z tem zgadzam, ale tego właśnie na odcinku naszych ubezpieczeń społecznych dowodziłem. Rzecz inna, czy to jest zawsze dobre. Czasami: w kwestji ubezpieczenia na wypadek bezrobocia — tak.

Drugim punktem mego artykuliku było zakwestjonowanie ponad-klasowości polityki gospodarczej. Z notatki p. C. S. wyczuwam, że twierdzenie to nie przypadło mu do gustu. Jest to dla mnie niespodzianką. Bo z pozostałych rozważań p. C. S. wynikałoby właśnie zrozumienie dla tej tezy. I znowu pozwolę sobie postawić pewną kropkę nad i. Ponadklasowej polityki gospodarczej niema i być nie może. Może być tylko polityka świadomie, lub mimowolnie, trwale lub przejściowo faworyzująca interesy pewnych klas. Nasza polityka nie należy do kategorji stwarzających świadomie trwałe przywileje, ale nie jest tem samem ponadklasową. Poruszyłem te sprawę dlatego, że chodziło mi o zwrócenie uwagi obrońcom usztywniania ubezpieczeń społecznych na ich obecnym wysokim poziomie, że sami siebie wyprowadzają w pole. Akcja ich koncentruje się na odcinku ubezpieczeń społecznych, które bądź co badź stanowia mała stawkę, a w międzyczasie polityka gospodarcza dokonywa lub dokonywać może przesunięć w dochodzie narodowym na rzecz innych klas społecznych niż robotnicza, przesunięć, których waga może nawet przekraczać, a w każdym razie musi neutralizować „małą stawkę" ubezpieczeń społecznych.

W polskim obozie pracowniczym bodajże tylko komuniści zdają sobie sprawę, że nie należy przeceniać małych stawek wtedy, kiedy gra idzie o duże. Dzieci, źle się bawicie.

Czesław Bobrowski.

HISTORJA SIĘ POWTARZA.

„Może kiedyś gospodarz jaki, z nudów plądrując po strychu, znajdzie te świstki, niech i dla niego coś będzie, a może, gdy pozna naszą nędzę, dola jego lepsza mu się wyda" — tak pisze Ludwik Grzymała Jabłonowski, szlachcic polski z XIX wieku w swym barwnym i jakże polskim pamiętniku.

Właściwie należałoby zacytować cały długi rozdział poświęcony charakterystyce ówczesnej gospodarki ziemiańskiej i ówczesnej sytuacji wielkiego rolnictwa. Ograniczymy się jednak z konieczności do urywków. „Ci, co się pierwsi rzucili do prawdziwych gorzelni, osiągnęli znaczne korzyści. Kiedy zaś każda wioska musiała dla honoru mieć gorzelnię, wyrabiano taką masę wódki, że w roku 1839 czy 1840 skarb komarzański Lanckorońskiego sprzedał z odstawą do Lwowa 100.000 garnców okowity po 12 groszy". Zjawisko „owczych pędów mody" w gospodarce rolnej, polegających na tem, że w jakimś roku nagle cały szereg warsztatów rolnych przystępuje, dajmy na to, do zakładania chmielników czy produkcji koniczyny nasiennej, ma zatem swoje dawne, mocne tradycje. Skutki oczywiście takie sa-

nie dziś, jak i dawniej — utrata rentowności nietylko dla tych, co przyszli drudzy, ale i dla tych, co zaczęli pierwsi. „Łąk nie lubiano—bo cóż robić z sianem. Stawów — bo to wieczna dłubanina koło szluz i grobli, lasów — bo chłopi kradną...“ Te skłonności pozostały bodajże do dnia dzisiejszego. Gospodarka w polu to grunt i dla dzisiejszego ziemianina.

„Większe majątki rozbiła palestra lub rozkradli oficjaliści. Mniejsze poszły z dymem, nie jak często twierdzą na zbytki, lecz poprostu na odziedziczone i konieczne długi, którym niedoświadczeni sprostać nie mogli“. Pod tym względem jest dziś lepiej i gorzej. Palestra i oficjaliści nie mają już tyle do powiedzenia co dawniej. Ale zato długi! Długi dzisiejsze nie są wcale odziedziczone, przeciwnie ininflacja oczyściła rolnictwo ze znacznej części zadłużenia. Ale zato ziemianie sami postarali się o to, czego nie odziedziczyli, a dopomogła im w tem walnie wadliwa polityka ułatwień kredytowych. Jabłonowski dwudziestego wieku mógłby opowiedzieć o tem, jak współczesny ziemianin zaciągał kredyt, którego nie potrzebował „bo przecież płaci składki do związku jak inni, więc jakże nie miałby wziąć kredytu jak inni“.

Nawet urzędy rozjemcze dla spraw kredytowych mają swój prototyp w historji. Tylko że wtedy nie istniały z mocy ustawy, lecz siłą zwyczaju. Nie orzekały o wysokości czynszów dzierżawnych, lecz, dajmy na to, o rozliczeniach między dzierżawcą a właścicielem. No, i nie nosiły nazwy urzędu rozjemczego, lecz sadu polubownego. „A sąd i dla najuczciwszych niełatwy: zasądzą dzierżawcę — wyleci bez kawałka chleba, zasądzą dziedzica,—jeszcze dychać może, więc podtrzymany dzierżawca szedł bez grosza doświadczać szczęścia na innej dzierżawie“. Tylko w ocenie metod wyrokowania sadów polubownych Jabłonowski jest wyjątkowo złośliwy. „Zwoływano sąd polubowny z wspólnych przyjaciół złożony; ten sądził ani podług prawa, ani podług sumienia, ale podług uczucia“.

* *

„W owych to latach urosły dziś szanowane, bo poczciwe ormiańskie rodziny, trzeźwo sądząc o rzeczach, a prawdziwą wartość dóbr upatrując w ziemi, szczególnie sianach i paszach. Sunąc się ku nam od Bukowiny i Pokucia, w krótkim czasie nabyli najpiękniejsze majątki za bezcen“. Stanowczo za mało mamy w Polsce Ormian. Jak dzisiaj radzą sobie z kryzysem potomkowie tych Ormian, o których mówi Jabłonowski?

c. k.

PRZEROST POŚREDNICTWA.

Nie jest moim zamiarem kruszyć kopii w obronie kupiectwa. Do tego celu służy „Tygodnik Handlowy“ i szereg pism branżowych i zawodowych. Mam natomiast na celu zastanowienie się nad popularnem powiedzeniem o przeroście pośrednictwa w Polsce.

W krótkiej notatce nie sposób zagadnienia tego przerostu rozwiązać jak należy, ba! nawet odpowiednio je postawić. To też zwrócę tylko na nie uwagę za pośrednictwem wzmianki o jednej z ostatnich publikacyj Głównego Urzędu Statystycznego pt. „Statystyka przedsiębiorstw handlowych w Polsce“.

Sporządzony przy pomocy władz skarbowych spis przedsiębiorstw handlowych, wykupujących świadectwa przemysłowe I — V kategorji, odnosi się do stanu z dnia 1 marca 1932 r. Obejmuje on 344.905 przedsiębiorstw, jednakże niedokładności opisu powodują, że faktyczny ilostan jest o conajmniej 10% większy od wykazanego.

Ponieważ sama ilość świadectw przemysłowych niewiele mówi, wnioski ze wzmiankowanej „Statystyki“ można opierać jedynie na liczbach względnych. W tym celu ludność danego województwa dzielimy przez ilość przedsiębiorstw handlowych i tak uzyskany iloraz będzie wskaźnikiem „nadmiaru“ lub też „niedoboru“ tych przedsiębiorstw.

Na 1 przedsiębiorstwo handlowe przypadało zatem:

Polska ogółem	93	mieszkańców
m. st. Warszawa	52	„
woj. Warszawskie	95	„
„ Łódzkie	75	„
„ Kieleckie	96	„
„ Lubelskie	103	„
„ Białostockie	105	„
„ Wileńskie	120	„
„ Nowogródzkie	144	„
„ Poleskie	142	„
„ Wołyńskie	118	„
„ Poznańskie	77	„
„ Pomorskie	85	„
„ Śląskie	75	„
„ Krakowskie	87	„
„ Lwowskie	94	„
„ Stanisławowskie	104	„
„ Tarnopolskie	106	„

Widzimy przeto, jak ściśle ilość przedsiębiorstw handlowych zależy od a) stopnia rozwoju ogólno-gospodarczego, b) gęstości zaludnienia, c) uprzemysłowienia i urbanizacji, d) stosunków komunikacyjnych etc. każdego z województw. Możnaby na tej podstawie mówić nawet o jakimś prawie, taka między wspomnianemi zjawiskami występuje regularność w oddziaływaniu na gęstość sieci placówek handlowych.

Możemy jednak zauważyć, że ogólna ilość przedsiębiorstw handlowych, obejmujących tak różne i odmienne dziedziny, jak np. skup zawodowy, wyroby monopolu tytoniowego, banki, księgarnie, hotele i teatry, — nie daje właściwej miary. Odpowiadając na to, zastosujmy naszą metodę do dwuch wyłącznie branż, a mianowicie: sklepów z artykułami spożywczemi i kolonjalnemi łącznie z innemi artykułami spożywczemi, a przeważnie bez tych ostatnich (branżą 2 i 3 schematu G. U. S.).

Okaże się wówczas, że na takie 1 przedsiębiorstwo przypada w Polsce przeciętnie 250 mieszkańców, przyczem minima („przerost“ pośrednictwa w branży spożywczej) wykazują przedewszystkiem: m. Warszawa (184), woj. Łódzkie (215), Śląskie (221), Kieleckie i Poznańskie (po 237), maksima zaś — woj. Białostockie (283), Wołyńskie (284), Poleskie (309), Wileńskie (316), i Nowogródzkie (353). Zjawisko, które „odkryliśmy“ przy porównaniu ilości mieszkańców z ogólną ilością wszystkich przedsiębiorstw handlowych, i tutaj występuje równie jaskrawo z drobnemi jedynie odchyleniami.

Gdybyśmy wspomnianą analizę przeprowadzi-

li bardziej szczegółowo, to zn. miastami i powiatami, a nie według województw, to odchylenia będą już większe, co się tłomaczy nietyle różnorodną wielkością przedsiębiorstw handlu spożywczego, gdyż te w całej Polsce należą do małego i średniego typu (brak filij), ile lokalnymi warunkami komunikacyjnemi, obszarem miasta czy powiatu itp. Stąd w takiej Gdyni na 1 przedsiębiorstwo handlu artykułami spożywczemi przypada zaledwie 100 mieszkańców, gdzie do Gdyni przybywają w lecie tysiące wycieczkowiczów, a stale goszczą w niej załogi wielu okrętów oraz — co ważniejsze — robotnicy, zamieszkali poza Gdynią. Białystok ze 121 mieszk., Bielsko ze 123, Sosnowiec ze 127 lub Wilno ze 143 wskazywałyby raczej na zbyt liczną warstwę małych sklepików, odwrotnie, niż w Katowicach, gdzie przeciętna wynosi 263 m-ców, a nawet we Lwowie (212), Poznań (186) lub Toruń (178). Tutaj już dałyby się wykryć *ślady* pewnej patologji, jaką niewątpliwie jest nadmiar sklepików, patologji szkodliwej przedewszystkiem dla samego handlu i dopiero pośrednio — dla konsumenta.

W powiatach odchylenia są w zasadzie mniejsze. Coprawda w pow. Święciańskim wypada 1 przedsiębiorstwo handlu artykułami spożywczemi (branża 2 i 3) zaledwie na 407 mieszkańców, gdy w powiecie będzińskim — na 167, ale są to wypadki raczej skrajne. Przeważnie przeciętna oscyluje ok. liczby 250, przyczem poniżej tej normy znajdujemy powiaty o większych miastach (Włocławek, Kalisz Chełm, Siedlce, Równe), powyżej zaś powiaty rolnicze (Miechów, Garwolin, Łomża, Brzesko). Nie brak tutaj i odchyleń, dzięki którym w typowo wiejskim powiecie tarnobrzeskim przeciętna wyniosła 207 m-ców, a więc tyle co w kaliskim (206).

Nie chcę i nie mogę generalizować, wydaje mi się jednak, że dokonane powyżej *próby* obliczeń wskazywałby na to, jak pohopnie mówi się o „przeroście" pośrednictwa handlowego, mając na myśli zupełnie niemiarodajną *ilość* przedsiębiorstw handlowych. Wysuwanie na plan pierwszy momentu *optycznego* bez wniknięcia w istotę i przyczynę rzeczy powoduje narastanie truizmów o treści wręcz bałamutnej. Jeżeli podobnie dzieje się z poglądami na „przerost" pośrednictwa pionowy (t. zn. od producenta do konsumenta), to tem bardziej niezbędne są badania nad *strukturą* handlu w Polsce, aby w polityce gospodarczej nie posługiwać się fałszywemi założeniami.

k. b.

REDAKTOR ODPOWIEDZALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA". **CZESŁAW BOBROWSKI**

Sekretarz Redakcji: ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 646-64. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.